



„Kocham życie!” Emerytowana pani dyrektor wspomina trudne, ale szczęśliwe czasy w Lasecznie i Rudzienicach [ARCHIWALNE ZDJĘCIA]

data aktualizacji: 2021.03.14



Rozpoczynamy cykl, w którym będziemy prezentować ciekawe osobowości, miejsca godne uwagi, ciekawostki z gminy Iława. Dzisiaj prezentujemy postać Marii Sak - pedagog, wieloletniej dyrektor szkoły podstawowej w Rudzienicach, społecznika - zasłużonej dla Gminy Iława. Zapraszamy do lektury!

To, że urodziłam się w czasach trudnych pod każdym względem, jest oczywiste. Wystarczy spojrzeć na początek mojego numeru PESEL - 49...

Rodzice za chlebem przyjechali z Centralnej Polski na tak zwane Ziemie Odzyskane, do Jegłownika koło Elbląga, gdzie przyszedł na świat. Ojciec - buntownik i gaduła nieopatrznie powiedział, że nie będzie tworzył żadnych kołchozów i spółdzielni produkcyjnych, co było polityką ówczesnej władzy. Ta nieostrożność spowodowała, że eksmitowano nas do małej wioski Oleśno, koło Gronowa Elbląskiego, gdzie jeszcze w latach sześćdziesiątych nie było elektryczności. Uczyliśmy się przy lampie naftowej, chodziliśmy do szkoły po gliniastej drodze, gdzie w tłustej mazi często zostawały nasze buty. Byliśmy

jednak szczęśliwi, mimo że nie było komputerów, iPhone'ów i tej wielkiej techniki, bez której dzisiaj młodzi nie mogą się obejść. A jacy byliśmy sprawni fizycznie, skacząc przez rowy, ze stogów siana. Rower ojca wyciągnięty z szajerka w wielkiej tajemnicy przed nim, to była frajda!

A szkoła? Była cudowna. Nawet wtedy, kiedy dostawało się drewnianym piórnikiem po łapach za najmniejsze przewinienie. Ja nigdy nie byłam spokojna. Moje wyjazdy ze szkoły na festiwal tańca do Elbląga – niewypowiedziana radość, a rozgrywki szczypiorniaka, czy biegi? Wystarczyło słowo nauczyciela „Jedziemy do Fiszewa (Stasia, Marysia, Teresa...). Pokażemy co potrafimy”, a wszyscy z radością biegliśmy na treningi.

W poszukiwaniu lepszego bytu rodzice wyprowadzili się do Prabut, gdzie ukończyłam szkołę podstawową, siedmioklasową, co podkreślam w rozmowie z wnukami, że jestem niedouczone. Po ukończeniu iławskiego „Żeromka” w 1967 roku zaczęłam spełniać swoje marzenia, żeby zostać nauczycielką. Z matematyki – noga! Z chemią – na bakier. Pozostała mi humanistyka. O mało nie doszło do rękoczynów, gdy powiedziałam, że idę na rusycystykę, a nie na polonistykę.

Moja przygoda z edukacją dzieci zaczęła się w Lasecznie. Przyjął mnie ówczesny kierownik szkoły pan Mieczysław Koczkodon. Na wstępie zakomunikował, że będę mieszkać w pokoiku, w budynku poczty, ale muszą tam postawić piec kaflowy. Były już mrozy grudniowe, a pieca jeszcze nie było. Chodziłam ogrzewać się do pani Lepczyńskiej i państwa Kraszewskich. Czasy, na przekór tej ogólnej szarości, były radosne, była młodość. Przygotowywanie jasełek, zbiórki zuchowe, gra w podchody, biwaki – to była autentyczna aktywność, którą rozwijaliśmy w uczniach. Zakochałam się w tej miejscowości i w jej mieszkańcach, a szczególnie w inteligentnym chłopaku, który recytował fraszki Sztudyngera, Lechonia, Tuwima i tak zostało do dziś.

Jakież było moje rozczarowanie, gdy pewnego razu złożyli mi wizytę pan Roman Żuchowski (inspektor oświaty) i Henryk Krajewski – dyrektor szkoły w Rudzienicach, proponując mi zatrudnienie w tejże szkole. W 1973 organizowano tu pierwszą w powiecie zbiorczą szkołę gminną, więc potrzeby kadrowe były duże. Broniałam się rękami i nogami. Tym bardziej, że miałam zostać zastępcą dyrektora. „Dostaniecie lepsze mieszkanie z centralnym ogrzewaniem, nad urzędem gminy” – to była linia przekonywania mnie do podjęcia decyzji. Moje tłumaczenie, że będę nieprzydatna, bo wkrótce urlop macierzyński, na nic się zdało. Początkowe lata w szkole rudzinieckiej to jeden koszmar. Dowozy uczniów z Mątyk, Gromot, Kałdun, Frednów, Franciszkowa, Tynwałdu, Makowa. Skoordynowanie planów lekcji, za które byłam odpowiedzialna z dowożeniem uczniów „bonanzą” traktorową, bardzo mroźne zimy, śnieg i temperatura w klasach 6 – 100 C. Uczniowie przynosili gazety, które wykorzystywano do otulania okien, żeby nie zamrznąć. Dawaliśmy radę, byliśmy młodzi, pełni energii. Już wtedy częstym gościem w szkole był pan Henryk Plis. Ile ja przez niego „obrywałam” od dyrektora? „A dlaczego wchodzimy wieczorami do szkoły?”, „Co ja robię w tym SSK Pojezierze?”. A były to próby pierwszego, założonego przez nas kabaretu, którego inicjatorem był właśnie pan Henryk.

A jak wyglądały jarmarki ludowe w Rudzienicach? Byli zapraszani zacni goście. Pisarze (Henryk Panas, Zbigniew Nienacki), ludzie nauki (prof. Stanisław Achremczyk, dr Maria Łopatkowa), a pan Henryk komunikował: „Pani Mario, proszę się nimi zająć, a Rysiu niech robi zdjęcia i pociągnie prąd z mieszkania do sceny”. Dwoiłam się i troiłam, żeby zainteresować gości naszymi wspólnymi działaniami, pokazać wieś, szkołę. To, co się tu działo, w tamtych czasach przekraczało nasze oczekiwania. Tak aktywizował nasze środowisko pan Henryk.

W czasach zakazów i nakazów, donosów i oszczerstw nasze wiejskie społeczeństwo było szczególne. Nawet obowiązkowe czyny społeczne (lata 70 – 80), pokazały, że można było zbudować świetlicę wiejską z biblioteką i remizą strażacką, funkcjonujące do dnia dzisiejszego. Pamiętam jak ówczesny sołtys, pan Tadeusz Wieński gromadził mieszkańców przy wspólnej pracy, nasza szkolna młodzież

również angażowana była przy pracach porządkowych. Ówczesna edukacja wychowywała do działań praktycznych, do szacunku do nauczyciela, osób starszych. Nasi uczniowie wspomagali ludzi schorowanych, nosząc obiady ze stołówki szkolnej zakupione przez ośrodek pomocy społecznej.

Odnoszę wrażenie, że nie było tak wielkiego egoizmu wśród młodzieży szkolnej, z jakim spotykamy się obecnie. Często słyszymy, że należy im się markowe ubranie, super rozrywka, luksusowe wakacje.

Z satysfakcją wspominam absolwentów naszej szkoły: dobrych fachowców, rolników, budowlańców, lekarzy, inżynierów, nauczycieli. Z wieloma spotykam się przy różnych okazjach na co dzień. Mamy wspólne tematy. Już jako dojrzały ludzie niejednokrotnie wspomagali szkołę w jej działaniach. Pomagali materialnie oraz służyli swoją fachową radą w przygotowaniu wielu uroczystości i imprez szkolnych (np. Rada Rodziców z Joanną na czele). Od 1985 roku, kiedy zostałam dyrektorem szkoły, ciągle dążyłam do jej rozwoju. Przy okazji obchodów 50-lecia w 1966 roku wykonaliśmy własnym sumptem, z pomocą rodziców WC wewnątrz budynku tak zwanej "starej szkoły" oraz w oddziale przedszkolnym w Kałdunach. Bywało, że troskliwie mamy maluchów przynosiły nocniczki, żeby dziecko nie musiało wychodzić zimą na zewnątrz do prymitywnych "wychodków".

Niezapomniana była nasza wyprawa do Warszawy z panem Wójtem Krzysztofem Harmacińskim, Romanem Piotrkowskim (Przewodniczącym Rady Gminy), dyrektorem GZEAS – Henrykiem Szabelskim, Henrykiem Plisem, Ryszardem Jurkiewiczem (Przewodniczącym Rady Szkoły) i moją skromną osobą, z okazji obchodów 750-lecia Ziemi Rudzienieckiej. Gościliśmy w kancelarii Prezydenta RP, aby prosić o pomoc w budowie sali gimnastycznej w Rudzienicach. Było to w grudniu 1999. W czasie uroczystości jarmarkowych położono kamień węgielny pod budowę sali gimnastycznej, którą uroczystie oddano do użytku cztery lata później. Myślę, że warto byłoby pokusić się o wykonanie np. na 75-lecie naszej szkoły wykazu naszych absolwentów pod kątem wykonywanych zawodów, pełnionych funkcji i innych osiągnięć i dokonań życiowych. Wyszli oni z tego małego środowiska wiejskiego, które szablonoowo uważane jest za gorsze, a potrafili odnaleźć się w dużych firmach w Polsce i za granicą. Są cenionymi fachowcami, dyrektorami firm, profesorami, lekarzami. Moim marzeniem byłoby, aby wrócili tu, na wieś i wspierali nasze środowisko, choć wiem, że jest to niemożliwe z wiadomych przyczyn.

Aktywność nauczycieli, wspólne działania z Towarzystwem Ziemi Rudzienieckiej, parafią, Radą Szkoły, Radą Sołecką, wspaniałą Radą Rodziców dawały satysfakcję i wpisały się na stałe w działalność szkoły. Występy zespołu muzycznego, który prowadził Stanisław Kowalkowski, zawody sportowe prowadzone przez Tadeusza Mieleszczuka oraz kolejnych wuefistów, montaż słowno-muzyczne przygotowywane przez wychowawców tworzyły promocję szkoły oraz integrowały pokolenia. Byliśmy zauważani nie tylko przez mieszkańców, ale również samorząd gminy, a nawet pokazaliśmy się na antenie TVP. Zespół wokalny-instrumentalny z okazji wejścia do struktur unijnych wykonał "Ode do radości". Nasza drużyna piłkarska okazała się najlepszą drużyną w rejonie w rozgrywkach "Piłkarska Kadra Czeki" i również pięknie zaprezentowała się w TVP.

Pamiętam, jak uknuliśmy z ówczesnym sołtysem Zbigniewem Osasiukiem oraz Radą Sołecką, że zaprosimy Pana Wójta, aby porozmawiać i przekonać Go do budowy boiska wielofunkcyjnego. Jakież było Jego zaskoczenie, kiedy późnym wieczorem pokazywaliśmy Mu miejsce, w którym widzielibyśmy ten obiekt. Chciałam za dużo. Kiedy wspomniałam, że "stara szkoła" nie może funkcjonować w obecnym kształcie (przechodzenie uczniów z jednej szkoły do drugiej na zajęcia informatyczne, młodszych na obiady, czy do sali gimnastycznej), dobrze byłoby rozbudować nową szkołę i wszystkich uczniów w niej zgromadzić. Pan Wójt zachnął się: "A może wybudować wam jeszcze nową szkołę?".

Nie kryłam swojego zadowolenia, kiedy po dwóch/trzech tygodniach wróciliśmy do rozmowy i na

spokojnie, merytorycznie omówiliśmy koncepcję rozbudowy budynku szkolnego.

Jak wspomniałam, dzięki aktywności wielu życzliwych nam ludzi udało się zrealizować wiele pomysłów. W krótkim czasie powstało i boisko wielofunkcyjne i sala gimnastyczna i rozbudowano szkołę. Rozwijaliśmy się również dydaktycznie. Przygotowywaliśmy i realizowaliśmy projekty unijne, koordynowane przez Urszulę Solis (obecna dyrektor szkoły). Ileż było zadowolenia uczniów i ich rodziców. Wyjazdy na wycieczki (od Bałtyku do Tatr), na basen do słynnych Plusk, liczne koła zainteresowań, uroczyste podsumowania integrujące rodziców, uczniów, nauczycieli.

A co teraz? Na emeryturze od 2011 roku. Podobnie jak w czasie aktywności zawodowej, tak i teraz nie mogę usiedzieć spokojnie i wciąż nie mam czasu. Wraz z Ryszardem, od czterdziestu ośmiu lat moim mężem (że też on tyle ze mną wytrzymał!) uwielbiamy podróże, jesteśmy ciekawi świata i ludzi. Zwiedziliśmy wiele krajów Europy, a nawet Azji. Zimowymi wieczorami wracamy do cudownych miejsc, oglądając fotografie i nagrania. Chcę podkreślić, że to Ryszard jest rejestratorem historii nie tylko naszej rodziny, ale też uwiecznił ważne wydarzenia dziejące się w szkole, gminie, naszej małej ojczyźnie. Nadal możemy zachwycać się widokami Chorwacji, Czarnogóry, Bośni, cudownymi zabytkami Hiszpanii i Portugalii, w głowie cały czas widzimy, niczym z pocztówki, panoramę Budapesztu, czy widok z mostu Karola w Pradze. Ciągłe wracamy do historycznych, cudownych miejsc w Izraelu i Jordanii, gdzie sacrum bardzo miesza się z profanum. Tam chciałabym jeszcze wrócić, ale chyba już tylko z niebios bram, bo przypadłości wieku już się mocno odzywają.

Na marginesie wspomnę, że prawie na każdym wyjeździe gubi mi się Ryszard. Wszystko musi zobaczyć, obfotografować, tak też było i w Masadzie nad Morzem Martwym. To, jak urządził tę twierdzę Herod Wielki – to szczyt techniki. Były tu zbiorniki na wodę, cały system irygacyjny, łaźnia rytualna, synagoga i cały potężny system obronny. Jak takie cuda techniki mogły nie zatrzymać na dłużej mojego „technicznego” męża. Przywykłam do tego, że często mi się gubił, ale zawsze szczęśliwie odnaleziony dzięki telefonii komórkowej i przewodnikom znającym obiekty. Wszyscy zjechali gondolami nad morze, a my dopiero z półgodzinnym opóźnieniem mogliśmy korzystać z dobrodziejstw kąpieli solnych w Morzu Martwym.

Jak tylko minie pandemia, zwiedzimy nasze piękne zakątki, które najmniej zgłębialiśmy – wschodniej Polski. To co łatwiejsze do zwiedzania zostawiliśmy na trudniejszy czas. Dziękuję niebiosom, że mam jeszcze trochę sił i werwy, by realizować się w pracy na działce, szczególnie w tym trudnym czasie COVID’u. Tu mogę spotykać się z moimi dziećmi, wnukami, bliskimi, bez których moje życie byłoby smutne. Kocham przyrodę, rozkoszuję się każdym rozkwitającym wiosną kwiatkiem, krzewem, rośliną. Zbieram również i suszę zioła, z których robię herbatki, a i nalewki – tylko dla zdrowia!!!

Uwielbiamy z mężem wszelkie spotkania (dziś niemożliwe), czy to w Izbie Pruskiej na Biesiadach Historycznych, czy to na imprezach kulturalnych organizowanych przez Wójta Gminy, szkołę, gdzie można porozmawiać, powspominać, poczuć się młodszym i zawsze czegoś się jeszcze nauczyć.

Nie mogę nie wspomnieć o kulturotwórczych spotkaniach, z Iwonką, doktorem Wiktorem, Henrykiem, ale to już temat na oddzielny artykuł, esej, który oni sami zapewne kiedyś zaprezentują.

Reasumując, kocham życie na każdym jego etapie, nawet jeśli spotykały mnie jakieś smutki, zawody, choroby. Takie jest przecież życie. Najbardziej zachowuję w pamięci te pozytywne zdarzenia, których wspomnienia pomagają przetrwać „gorsze czasy”. Swoją drogą, żal mi tych tak szybko mijających lat, ale wiek przecież nie może godzić w naszą radość istnienia. Chciałabym, aby nikt nie ulegał presji mody i kultowi młodości, dla mnie najważniejsze jest zdrowie i przyszłość – nie tylko moich bliskich, ale i wielu przyszłych pokoleń, które są opoką dalszego istnienia i rozwoju. A więc: carpe diem, chwytaj dzień, chwytaj chwilę.

Publikacja za: Gminą Iława/red. kontakt@infoilawa.pl.

Zdjęcia: archiwum prywatne.

~~galeriaspc~~6075~~

Źródło:

<https://www.infoilawa.pl/aktualnosci/item/63809-kocham-zycie-emerytowana-pani-dyrektor-wspomina-trudne-ale-szczesliwe-czasy-w-lasecznie-i-rudzienicach-archiwalne-zdjecia>